Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 23 (28). Warszawa, czwartek dnia 10 czerwca 1937 r. Rok II.

KOMPLEKS „PIERWSZEJ BRYGADY"

Kompleks, o którym będzie mowa, nie ma nic wspólnego z piękną kartą, wpisaną przez Pierwszą Brygadę do księgi polskiej historii, ani z jakimkolwiek uczuciowym stanowiskiem wobec przeszłości, ani z takim czy innym, czy nawet nieprzytomnym „giertychowym", zgoła maniackim poglądem na walki o niepodległość.

Kompleksem „Pierwszej Brygady" nazywamy jedno z najniemoralniejszych złudzeń, jeden z najfatalniejszych przesądów, jakie zaciążyły nad młodym pokoleniem Polski, złudzeń wynikłych z bardzo powierzchownej obserwacji i z bardzo pochopnie wyciąganych wniosków, a odbijających się fatalnie na umysłowości najczynniejszej części młodzieży różnych kierunków.

Sprawa na ogół jest prosta. W Polsce i w szeregu innych państw obserwujemy pewien „totalizm" jednej grupy związanej węzłami wspólnej przeszłości. U nas np. z pośród bardzo wielu grup i ugrupowań działających w drugim dziesiątku lat wieku bieżącego, jedna z pośród wielu podówczas równorzędnych osiągnęła ostateczną rację i ostateczne zwycięstwo. Dzisiaj dawna przynależność do tej właśnie grupy jest przedmiotem dumy i zaszczytu, a jakże często szczeblem kariery, natomiast fakt pozostawania do niej w opozycji staje się często przeszkodą życiową, Jednym słowem przeszłość warunkuje karierę i możliwości, a nie istotne wartości reprezentowane aktualnie.

Oto powierzchowna obserwacja.

A wnioski powierzchowne? Te właśnie są niebezpieczne. Gruntuje się bowiem przekonanie wśród zorganizowanej i organizującej się pod różnymi sztandarami młodzieży, że dzisiejsza przynależność do tej czy innej organizacji będzie kiedyś zasadniczym kryterium oceny, że będzie określać nieodparty stopień wartości, że *ważnym kiedyś będzie, kto z kim i przeciw komu*, z jakim znaczkiem organizacyjnym w klapie i pod jakim sztandarowym hasłem. Wydaje się ambitnym kandydatom na wodzów, że znów wpośród nas maszeruje do władzy jakaś Pierwsza Brygada, którą się trzeba stać za wszelką cenę, bo inaczej, pozbawi się już raz na zawsze pełnych możliwości.

I z tych przesłanek wynika najbardziej niezdrowe podejście do działalności ideowo-politycznej, podejście w którym moment personalny i organizacyjny góruje nad wszystkimi innymi. „Linia podziału" zamiast wyznaczać istotne i prawdziwe różnice przedziela swym przebiegiem nie treść lecz formę. Ta forma symbolizowana całym arsenałem magicznych zaklęć w postaci haseł sztandarowych, znaczków w klapie spływa niesłychanie poziom umysłowy. Największe wysiłki pochłania organizacja, martwy schemat szablonów, który w atmosferze omawianego kompleksu urasta do sprawy pierwszorzędnego znaczenia. Kto obserwuje życie organizacyjne młodzieży ten stale spotyka się z wynikami niezdrowego personalno-organizacyjnego podejścia, ten widzi tych „wrogów", których nie dzieli nic prócz ...organizacji i tych „przyjaciół politycznych", których nic prócz organizacji nie łączy, ten cały splot ambicji, zakłamania, doktrynerstwa, idealizmu i przypadkowości, który ślepo łączy i dzieli młodych na jakichś fałszywych zasadach w imię jakiegoś zasadniczego błędu, pod kątem widzenia jakichś przyszłych segregowań i rozróżnień organizacyjnych.

Błąd rzeczywiście olbrzymi.

Selekcjonowanie zdolnych jednostek z pośród młodego pokolenia odbywać się będzie niewątpliwie inaczej niż odbywało się dotąd. Tak jak i dotychczas elita będzie się wyselekcjonowywać pod kątem widzenia przyszłych potrzeb, a te potrzeby są zupełnie inne w narodzie walczącym o niepodległość a inne w niepodległym państwie. Skoro już poruszyliśmy symbolicznie „Pierwszą Brygadę" czy biorąc ogólniej Piłsudczyków jako przykład grupy, którą przez długi czas zespalały wspomnienia wspólnych walk — to nie ulegajmy złudzeniu, że były one wszystkim. Linia podziału, która przebiegła pomiędzy piłsudczykami (tymi z r. 1914-go), a resztą społeczeństwa, była linią, która *dzieliła młodość i entuzjazm od marazmu*. W szeregach Pierwszej Brygady stanęła obok siebie młodzież socjalistyczna i narodowa, stanęli nawet ludzie z „esdecji", z Sokoła. W obliczu wielkiego aktu dziejowego pękły wszystkie nieistotne łańcuchy, krępujące porozumienie, nastąpiło wielkie przemieszanie wartości i Czyn wyznaczył nowy, tym razem istotny i prawdziwy podział, którego jedynym kryterium był stosunek do tego czynu, nie dający się niczym zablagować i zagadać. Selekcja elity odbyła się w ogniu walki, trzeba nam bowiem było elity, która umie przede wszystkim walczyć. I nie dlatego w Polsce ludzie z Pierwszej Brygady mieli w Polsce tak długo tyle do powiedzenia, że byli z Pierwszej Brygady, lecz dlatego, że byli najpotrzebniejsi i umieli dzięki Piłsudskiemu stać się najpotrzebniejszymi.

Nie trzeba chyba dowodzić, jak bardzo różne zadania czekają na pokolenie dzisiejszej młodości.

I właśnie dlatego trzeba, by młodzież odrodzonej Polski zrozumiała to dobrze, by dobrze zdała sobie z tego sprawę. Trzeba zerwać już raz na zawsze z kompleksem, który nazwaliśmy sobie kompleksem Pierwszej Brygady, trzeba wyzbyć się złudzeń, że drogą prac szumno-organizacyjnych wychowa się przyszłego obywatela przodującego, że jakaś jedna grupa obejmie kiedyś rząd dusz i że dlatego trzeba dołożyć wszelkich wysiłków, aby to była właśnie moja grupa. Te wysiłki trzeba skierować w innym kierunku. *Przodującym obywatelem w państwie będzie ten kto bez względu na to czy był czy nie był w jakiejś grupie czy organizacji najlepiej będzie przygotowany pod względem teoretycznym do swojej funkcji.*

Linia podziału znowu pobiegnie nie pionowo czy pomiędzy szablony organizacyjne czy grupowe, lecz poziomo, oddzielając wszędzie wszystko co najlepsze, najlepiej przygotowane, najsilniej powiązane z państwowością. Wszystkie podziały i różnice sztandarowo-personalne staną się śmieszne, ważne będą tylko istotne. Dlatego nie wolno zużywać sił na sprawy nie istotne i nie ważne.

Nakazy realizacyjne narzucane przez państwo wydobędą ze wszystkich zakamarków państwowych istotnie najwartościowszy element, który jako prawdziwa pierwsza brygada państwowców pomaszeruje w wielką przyszłość państwa.

W poprzednim numerze

„ZACZYNU"

Przepowiednie a wizja przyszłości
Z zakresu metodologii myślenia państwowego
Powrót utopistów
Myślenie bez konsekwencji
Grandowie i grandziarze
Droga Niemiec
Echa młodych
Ze zjazdu skarbowców
Głosy i odgłosy
Palcem po mapie

PROGRAMY PARTYJNE A PLANY PAŃSTWOWE

W dawnych, dobrych i coraz bardziej zapominanych czasach, wszyscy ludzie biegli w piśmie politycznym zajęci byli preparowaniem programów.

Wszyscy politycy, a więc zawodowi i kawiarniani układali i rozpatrywali programy i krytykowali je punkt po punkcie „analitycznie" i „logicznie".

Ta „potrzeba" programów przetrwała u wielu. Nałóg odczytywania, wertowania poszczególnych powiedzeń i „przyrzeczeń" politycznych trwa do dziś.

Zapotrzebowanie na „programy" maleje, a wynagrodzenie za pitraszenie tych elaboratów staje się mocno „platoniczne".

Troski, kryzys, bezrobocie, a co najważniejsza plany w państwach dynamicznych — postawiły „programy" poza nawias sensu i wartości publicznej.

I wśród nas zaznacza się dość wyraźnie upadek prestiżu programowców i spadek na giełdzie politycznej walorów programowych, ale niestety brak nam najważniejszego: planów państwowych.

Zaledwie zaczyna pojawiać się u nas zrozumienie różnicy pomiędzy programem a planem, pomiędzy zapowiedzią a przygotowaniem do akcji.

A różnice to zasadnicze.

Planistyka państwowa to produkt geniuszu ludzkiego tak nowy, że stare mole książkowe nie zdołały jeszcze wypitrasić dostatecznie martwych a zdawkowych definicyj, by ładować je w głowy studiującej młodzieży i tym samym odebrać świeżość i barwy tym poczynaniom twórczości ludzkiej.

Daje to jednostkom twórczym swobodę ruchu i kompozycji, a grupom młodym, awangardowym, możność parcia naprzód, naprzełaj ku ciągle nowym poczynaniom bez potrzeby legitymowania się przed starymi, przed mumiami, drapującymi się w togi uczonych i sędziów.

Miarą metodologiczną twórczości politycznej jest sukces realizatorski, nie zaś klasyfikacja uprawiana przez kustoszów różnorakich muzeów klasyfikatorskich.

Toteż w zestawianiu starego myślenia typu programowego i nowego twórczego pędu planistycznego nie będziemy używać języka uznanych „katalogowo" pojęć i kryteriów...

My, państwowcy, stawiamy na twórczość, na nową kulturę, która triumfalnie kroczy ku nowemu ustrojowi świata i nowym układom współżycia, współtwórczości i współpracy ludzi.

Myślenie programowe stawia na automatyzm gospodarczy, na statykę, czyli na pewną stałość istniejących zagadnień i środków realizacji, określoność zasobów i dochodu społecznego.

Programowcy są zajęci podziałem „dochodu społecznego", czyli wykrawaniem jak największej części z niego dla swej grupy, z oczywistą „krzywdą" innych grup.

Każdy program obiecywał, że zabierze innej grupie, względnie zmniejszy jej udział w dochodzie społecznym na korzyść swej grupy.

Oczywiście jest to tylko propaganda; jak każda propaganda czy reklama obiecuje wiele, a dotrzymać może tylko nie wiele i to w zależności od powodzenia wśród agitowanych.

Każdy reklamowany artykuł zależny jest od powodzenia; jeśli będzie kupowany w wielkiej ilości, spełni w stopniu dostatecznym zapowiedzi; w razie niepowodzenia fabrykant bankrutuje a reklama okazuje się blagą.

Tak samo z programami i obietnicami propagandowymi. W razie wielkiego powodzenia grupa zwycięska realizuje część obietnic, w przeciwnym razie ginie z powierzchni politycznej, lub wegetuje, walcząc z innymi grupami o okruch w „dochodzie społecznym". W ten sposób zwycięskie partie robotnicze czy chłopskie w razie wielkiego zwycięstwa wyborczego przychwytują dla siebie część dochodu społecznego, zatrzymywanego uprzednio przez grupy kapitalistyczne, i odwrotnie zwycięstwo „posiadaczy" odbiera część dochodu społecznego grupom pracy.

Poza materialnymi sprawami są jeszcze sprawy wpływów duchowych, czyli wychowania przyszłych „wyborców", i znów udana propaganda przesuwa szalę raz na jedną, raz na drugą stronę.

Mnogość programów nie wynika przeważnie z nowych pomysłów, czy z powstawania nowych ugrupowań realnych, lecz wskazuje na starzenie się układu, bądź na to, że układ statyczny zmienia się na inny statyczny, o ile nie na coś jeszcze ważniejszego, to jest na „dynamizm", czyli zmienność zasadniczą.

W przeciwieństwie do programów partyjnych plan państwowy w pierwszym rzędzie zajmuje się wytwarzaniem dóbr, a nie ich podziałem, tworzeniem nowych środków realizatorskich oraz ustalaniem hierarchii potrzeb, a raczej konieczności państwowych.

Cała sprawa podziału dochodu społecznego zostaje zepchnięta na plan drugi. O ile to jest możliwe dla danego państwa, sprawę tę pozostawia się grupom społecznym, oczywiście pod kontrolą państwa, by przerosty rozgrywek partyjnych czy grupowych nie paczyły linii planu państwowego.

W Polsce z powodu zbyt niskiego poziomu materialnego trudno było by zostawić „dochód społeczny" na dzisiejszym poziomie, to też twórczość i na tym odcinku musi być objęta troską państwa, a tym samym musi znaleźć się w obrębie planu państwowego.

Jakikolwiek „dobrobyt" w Polsce jest nie do pomyślenia w układzie dzisiejszych zasobów materialnych społeczeństwa, jak również nie można pozostawić rozdziału dochodu społecznego grze sił istniejących, czyli partiom politycznym, a to z powodu zbyt niskiego poziomu ich „programów". Ten opłakany stan wynikający z niskiego poziomu naszych partii politycznych jest pochodną niewoli, czyli niemożności wychowania społeczeństwa w ramach własnego państwa. Wszystkie powoływania się na Francję, Anglię, Szwecję, Belgię czy inne kraje są nonsensem zasadniczym właśnie dlatego, że tam społeczeństwa były wychowywane w układach państwowych, a u nas wychowanie społeczne odbywało się na tłach *oporu* przeciw obcym państwom— najeźdźcom.

Przemyślenie metodologiczne tego stanu sprawy w Polsce czyni zrozumiałym niemożliwość dopuszczenia do tego, by partie polityczne wywierały wpływ na układanie planu państwowego. Uprzednio w samym już zaraniu nowego państwa polskiego okazało się również niemożliwym sprawowanie rządów przez te same lub podobne partie polityczne, wywodzące się z okresu niewoli.

Niestety Polska jedyna wśród większych państw ma ten dodatkowy, a jak ciężki przymus — wychowania, czy też wytworzenia takich partii politycznych, których działalność i „programy" miałyby związek z istnieniem, wagą i funkcjami państwa, a nie z fikcjami i mirażami, wywodzącymi się z niewoli.

Skończmy tedy z „programami" a zajmijmy się sprawą tworzenia planów państwowych.

Jakie zagadnienia wchodzą tu w grę i jakimi środkami należy rozporządzać, aby realizować te zagadnienia? Które potrzeby i konieczności państwowe uznać za najważniejsze hierarchicznie?

Czy środki posiadane starczą w okresie przejściowym na zaspokojenie choćby najważniejszej sprawy, jaką jest obrona militarna państwa?

Jak powiększyć środki realizacji zamierzeń?

Co wpierw rozpocząć, czy wzmożenie produkcji, czy przygotowanie kadr wyszkolonych?

A wychowanie psychiczne i zawodowe społeczeństwa na falę długą i krótką?

Jaką propagandę prowadzić, aby wydobyć entuzjazm trwały, a nie chwilowy, jak to czynią partie przed wyborami?

Pierwsze podejście do tych spraw musi oszołomić każdego człowieka jako tako przygotowanego teoretycznie. Co za ogrom! Co za odpowiedzialność! Ten pierwszy oszałamiający uczuciowy wstrząs zmusza jednych do poczucia małości swej i nieodpowiedzialności — i do odejścia w ciche niemrawe ustronia pesymizmu, czy mikromanii.

Drudzy, o wiele liczniejsi, mniej krytyczni, a może mniej posiadający skrupułów, zaczynają od porównania siebie z „mężami stanu", którzy nie potrafili dokonać nic mądrego, i których uważają oni dlatego za gorszych od siebie.

To porównywanie z innymi małymi, nieudolnymi, czy niedość zdolnymi, prowadzi ich do buńczucznej symplifikacji sprawy. Przysłowie: „nie święci garnki lepią" jakże często w Polsce jest jedyną podstawą, na której wielu kandyduje na mężów stanu; niejeden też z czynnych działaczy państwowych buduje na tym powiedzeniu swoje prawa do zajmowania kierowniczych stanowisk w państwie.

Zapomnijmy o nich w tych rozważaniach, jak również o tych, co traktują sprawy państwowe, jako źródło osobistej kariery, czy jeszcze czegoś gorszego. Rozważania o nich i ich działalności wprowadziłyby nas na tory uczuciowe, jakże zrozumiałe, lecz nie pomagające do uchwycenia sprawy.

Postarajmy się natomiast choć teoretycznie zbliżyć się do tych, co mają dane umysłu i charakteru a także dostateczne przygotowanie i wykształcenie aby zasiąść do „wypracowania" planu państwowego.

W celu uniknięcia nieporozumienia musimy stwierdzić, że ci „powołani" są powoływani tylko in extremis, w chwilach tak niezwykłych, jak rewolucja, wojna lub podobne kataklizmy dziejowe...

Wszystkie chyba plany państwowe są robione na gorąco, w trakcie rozpoczętej akcji, nieraz z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

To też wszędzie wielkie plany państwowe nie tylko nie są zapięte na „ostatni guzik", lecz przeciwnie wyrastają niespodziewanie nie tylko dla widzów, lecz i dla aktorów...

Takie podejście jest nie do zniesienia dla wytwornych stylistów programowych, którzy potrafią napisać 8, 10, czy 12 punktów, prozą a w razie potrzeby i wierszem. Z pogardą patrzą oni na ten „bałagan" planistów państwowych i osądzają go tak długo, aż im... zamkną buzię (w przenośni!) dokonywanymi przemianami, bądź też brutalnie, aby nie przeszkadzali swoją bezmyślną,

choć uporządkowaną stylistycznie paplaninę.

Dla wychowanych na metodologii twórczości cały ten harmider i nieporządek jest tylko naturalnym zewnętrznym przejawem ciągłej, a płodnej twórczości, która każdym swym aktem przekreśla to, co było, i stwarza nowe dziś, nowe zagadnienia, nowe podejścia i nowe sposoby realizacji.

Jedno jest niezbędne, aby nie było chaosu, a mianowicie niezbędna jest linia kierownicza, czy to będzie wizja państwowa, czy konieczności państwowe, determinujące kierunek twórczości, tak teoretycznej, jak realizatorskiej.

Ta kierunkowość zmusza do hierarchii zagadnień; ona selekcjonuje, odrzuca lub wywyższa zagadnienia tak kategorycznie, że w końcu ustala się niewielka już liczba naczelnych potrzeb, a tym samym nastaje okres ładu i przejrzystości.

Na początek „nowej ery" ułożone są sprawy tylko w głowach jałowych, tępych a pewnych siebie miernot.

To, co nowe, rodzi się w wierze, wysiłku, pędzi skokami, rwie się nieraz, załamie, lecz podrywa się i znów pędzi siłą i rozmachem twórczości.

Jedyną podporą w tym szalonym biegu, jedynym ubezpieczeniem i treningiem zawczasu, jest myśl teoretyczna, wypracowana i kształcona przez nowy, wielki ruch umysłowy.

To też plany państwowe mogą powstać tylko tam, gdzie zawczasu uprawiano myśl państwową. A powstają plany państwowe wtedy, gdy zaczyna się zryw państwowy, gdy zdecydowano się na nowe, twórcze, na niepodzielne oddanie się sprawie realizacji potęgi państwowej.

Plany państwowe narastają w miarę twórczości, w miarę coraz większych wysiłków, upostaciowanych w instytutach teoretycznych i po przyciągnięciu największej zdolnych organizatorów, którzy stwarzają coraz więcej nowych warsztatów pracy, przyciągających ze swej strony coraz więcej zdolnych wykonawców.

Wtedy dopiero plan państwowy staje się „jasnym i celowym" dla wszystkich konsumentów i dla tych, którzy wychowani na myśleniu programowym, nie są w stanie dojrzeć czynów bez wystylizowanych zapowiedzi czy wypowiedzi.

Lecz państwowcy nie oglądają się nigdy na gadułów, jak nie stawiają na miernoty, nie uzgadniają swej działalności z programami partyjnymi, ani siadają do wspólnego stołu z menerami grup czy klik.

Przedział pomiędzy programowcami partyjnymi a planistami państwowymi jest miary astronomicznej; próby zbliżenia ich są bardzo szkodliwe, lecz na szczęście dla Polski nierealne. (11)

O KATEGORIACH MYŚLENIA POLITYCZNEGO

I. KONSTRUKCYJNE A DESTRUKCYJNE

Mówi się i pisze wiele w Polsce o kategoriach naszego myślenia politycznego, czy o „nastawieniach" państwowych, narodowych, społecznych i t. d. w politycznym rozumowaniu poszczególnych grup i jednostek. Rozróżnia się przytem rzekomą prawicę od rzekomej lewicy, na którym to tle nie brak takich wesołkowatych wyskoków, jak zarzucanie w polemikach politycznych sędziwemu „Czasowi" popierania inspiracji komunistycznych, a organowi drugiej międzynarodówki „Robotnikowi" uprawiania szowinizmu w kwestii żydowskiej. W rezultacie szermuje nasza publicystyka tymi rozmaitymi szufladkami nieraz całkiem fikcyjnego kategoryzowania stanowisk bez uwzględnienia w swych ocenach tego właśnie sprawdzianu, który bezapelacyjnie decydować będzie przy osądzaniu minionych czasów i minionych ludzi przez potomnych, czy też historię. W tym bowiem ogniu szermierki i żonglerki politycznej gubi się w naszych ocenach i rozumowaniach politycznych chociażby tylko wysiłek o wydobycie dla współczesnych z każdego działania politycznego tej cechy, która jednak w przyszłości będzie bezapelacyjnie rozstrzygać o ocenie czasów obecnych, a mianowicie: **osiągnięty rezultat.** Dla potomnych bowiem, dla dziejów i historii nie będzie rozstrzygać przy ostatecznej ocenie wartość raz takich, a raz innych idei, zgodność lub niezgodność z „duchem czasu", ale faktycznie otrzymane rezultaty polityczne, rezultaty raz konstruktywne ze stanowiska walki państwa i narodu o swą siłę i egzystencję, a raz — destrukcyjne.

Niewątpliwie ta potomność osądzająca minione poczynania i minionych ludzi będzie miała również swoje „nastawienia" polityczne, może nawet podobne przy swej pracy osądzania rzeczy byłych. Niemniej jednak podstawę dla tych wszystkich późniejszych, a tak czy inaczej koloryzowanych sądów, stanowić będzie zawsze ten sam czynnik, to jest: dziejowy skutek dla siły państwa, spowodowany raz takimi, a raz innymi przyczynami. Człowiek bowiem w ogóle, a szczególnie jako „zoon politikon", myśli o wszystkich sprawach w związku przyczynowym i nigdy nie jest i nie będzie zdolny oderwać się od osądzania spraw inną drogą, jak tylko przez wyszukiwanie przyczyn i ustalanie skutków. Sąd współczesnych o chwili bieżącej ulega wpływowi nastrojów i idei, dążeń, czy nieraz tylko haseł danej epoki, uwzględnia reklamowanie swej dobrej woli politycznej itd., ale ten sąd — dla którego ostatecznie istnieje w ogóle wszelka ideowa praca polityczna, — to jest sąd historii i potomnych będzie zawsze przepuszczał wszystko przez sprawdzian osiągniętych skutków, a nie pragnień i tendencyj psychicznych, które odgrywały rolę przyczyn. Uświadomienie sobie tego nieodpartego faktu ludzkiego myślenia wiedzie do również nieodpartej obserwacji, że ostateczna ocena potomnych, jako normowana faktem osiągniętych rezultatów, kierować się będzie zawsze pytaniem, czy **dane działanie polityczne odegrało rolę konstruktywną czy destrukcyjną,** oczywiście nietylko na terenie walorów materialnych państwa czy kraju, ale także na terenie walorów psychicznych narodu. Jest bowiem wynikiem przyczynowego systemu myślenia, że dla tej wtórnej, późniejszej oceny historycznej pokoleń rozstrzyga bezapelacyjnie fakt, czy dana działalność polityczna, dany czyn lub hasło, przyniosło skutki twórcze, dało danemu państwu i narodowi rezultaty konstruktywne, czy też dla odmiany, przy najlepszej nawet ideowej woli, przyniosło rozkład, chylenie się ku upadkowi, lub w ogóle mniej lub bardziej trwałe rezultaty destrukcyjne.

Niewątpliwie ta zasada rozumowania przez przyczynę i skutek, czyli przez obliczanie — mniej lub bardziej trafne — jakie konstruktywne walory przyniesie dana akcja, stanowi w polityce tę cechę rozumowania, którą z zamiłowaniem uważa się za zachowawczy, czy konserwatywny system myślenia, a to w przeciwstawieniu do dynamicznych dążeń rewolucji społecznych i politycznych, które w świadomie głoszonych hasłach kierują się przede wszystkim celem, czy raczej potrzebą realizowania rzucanych w przestrzeń idei. W podobnym przeciwstawieniu jednak tych dwóch sposobów politycznego rozumowania tkwi zasadnicza nieścisłość, spowodowana nie logiką rzeczy, lecz częstym faktem życiowym, że szczególnie kierunki konserwatywne lubią pro domo sua szermować zapowiedziami ujemnych skutków na wypadek realizowania poczynań, dążących do intensywniejszych przebudów politycznych lub społecznych. Ta metoda czy zwyczaj ugrupowań konserwatywnych grożenia przy każdej sytuacji skutkami sprawiła, że stało się niejako powszechnym przyzwyczajeniem myślowym uważanie tego systemu oceniania każdej sprawy przez obliczanie rezultatów za system zachowawczego rozumowania. W rzeczywistości jednak jest to **integralna cecha rozumowania każdego w ogóle polityka,** który umie dążyć do realizacji swych celów. Przejawia się zaś ten moment szczególnie jaskrawo np. w rewolucyjnej działalności Marszałka Piłsudskiego jako szefa i inicjatora bojówek przeciw obcym wrogom, gdy przy desperackich niemal pociągnięciach kalkuluje zawsze naprzód przyszły efekt, czyli skutek, który miałby wejść na trwałe do polskiego życia politycznego. Służąc bowiem rzeczywiście jakiejś idei, musi dana jednostka polityczna żywić w sobie przekonanie o jej konstruktywności, a w pozytywnych działaniach obliczać szczegółowo skutek, najwyżej z zachowaniem rozróżnienia czy owoce zrealizują się bezpośrednio, czy też po pewnym czasie.

Nic bowiem nie nakłada w życiu tak dalece obowiązku kalkulacji skutków dla państwa i narodu jak ideowa działalność polityczna. Coprawda praktyczni politycy składają się nie tylko z tych, którzy chcą przeprzeć w życiu politycznym swego narodu swoje idee i swoje ideały, ale niestety także jest bardzo wielu takich, którzy chcą w tym życiu politycznym — **przeprzeć raczej swoje osoby. Największym w dziejach udaje się przeprzeć swoje idee i przez to przeprzeć siebie ku wielkości.** Mniejsi muszą się zadowolić albo walką o sukces swych idei albo o sukces swych osób. Ci którzy walczą o siebie, muszą umieć kalkulować koniunkturę osobistą, międzypartyjną, popłatność nastrojów, posiadać wyczucie haseł, na których wyjeżdża się w górę, natomiast ci, którzy chcą przeprzeć swoją ideę i swoje ideały, muszą kalkulować drogi rozpowszechnienia i realizacji za pomocą bezustannej obserwacji wszystkich momentów społecznych i ekonomicznych danego państwa i narodu. O kalkulatorów osobistych niema potrzeby się martwić! Podobne bowiem lino-

skoczki polityczno-ideowe zawsze znajdą dość czasu, energii i trudu, by obserwować i obliczać szanse przeparcia w życiu politycznym swojej osoby. Natomiast trudną, a może nawet smutną stroną życia politycznego w ogóle, a polskiego w szczególności, jest fakt, że nagół jednostki nawet naprawdę ideowe, naprawdę pragnące przeprzeć w życiu pewne idee, a nie siebie, zbyt mało czasu, energii i trudu poświęcają temu obowiązkowi pracy nad opanowaniem wszystkich tych elementów, których uzasadniona kalkulacja pozwala przekuwać idee w konstruktywną rzeczywistość.

Fatalnym rzeczy nieporozumieniem uważają się wszyscy ludzie na świecie za powołanych nie tylko do brania udziału w pracy politycznej, — co jest zupełnie zrozumiałym, — ale także do kierowania polityką, co jest w przerażającej przewadze wypadków — szczególnie na tle skomplikowanych warunków XIX i XX w. — tragicznym nieporozumieniem z samym sobą. Państwo stoi i rozwija się walką i działalnością zarówno polityki jak wojska. Niewątpliwie ongiś, kiedyś można było być świetnym zagończykiem wojskowym i bijać wrogów, nawet nie wiedząc z kim się miało naprawdę do czynienia w walce, lecz już niemal od czasów napoleońskich, a cóż dopiero od drugiej połowy XIX w. niepodobna sobie pomyśleć i wyobrazić zwycięsko na terenie Europy prowadzonej wojny, — bez wysoko stojącego sztabu generalnego. W tej to nieprzerwanej wojnie o byt i rozwój państwa strona wojskowa jest w całej pełni unormowana. Nie sposób bowiem wyobrazić sobie, by nowoczesna armia podjęła pracę i walkę bez takiego układu rzeczy, że nad każdym odcinkiem spraw i zagadnień czuwa wyszkolony sztabowiec, ale równocześnie dowódca danej mniejszej, czy większej jednostki powinien być fachowo uzdolniony do dania zasadniczych wskazań. Dlatego na terenie zagadnień wojskowych — każdy wódz i każdy szef sztabu chociaż rozumie, że bez odpowiednio wysokiego „morale" wojska zwyciężyć nie można, wygranie danej konkretnej bitwy uzależnia od chwilowej chociażby taktycznej i technicznej przewagi, czy też od takiego, lub innego zespołu walorów w swym ręku. Jednym słowem nie tylko każdą szczegółową bitwę, ale każdy nawet marsz zbliżania się do nieprzyjaciela musi się w wojsku najszczegółowiej kalkulować, oczywiście wyłącznie pod tym tylko kątem widzenia, a mianowicie jakie skutki dane działanie przyniesie. Tymczasem na tym drugim odcinku walki o państwo na ogół tego zupełnie zrozumiałego obowiązku szczegółowej kalkulacji skutków danego działania — brak. Biorący udział w walce politycznej, nie tylko żołnierze, ale wodzowie uważają, że wystarczy mieć ideę, wystarczy mieć zasadę dla jakiejś przez siebie uznawanej „morale" masy, nie tylko do tego, by wojnę polityczną prowadzić, ale nawet by daną bitwę sytuacyjną zwycięsko rozegrać przez zapewnienie swej idei konstruktywnych dla państwa i narodu rezultatów. Tymczasem, polityka ani trochę mniej od wojny wojskowej nie może się obejść bez zdolności rzeczowego kalkulowania skutków każdorazowej akcji, czy każdego masom rzuconego hasła.

Najszczersze nawet i najgorętsze pragnienia dobrej służby swojemu narodowi i państwu mogą spełniać najwyżej rolę walorów odwagi i ofiarności żołnierskiej, **nigdy jednak nie mogą same przez się decydować o osiągnięciu naprawdę dodatnich rezultatów dla swego,** chociażby najbardziej ukochanego, narodu i państwa. Tak bowiem jak jasnym jest dla każdego, że fałszywe kierownictwo wojskowe może zużyć i zmarnować bezcelowo walory najlepszego żołnierza, kierownictwo polityczne nie umiejące trafnie skalkulować konstruktywnych rezultatów danej akcji może najlepsze nawet intencje wyniszczyć bezcelowo, co więcej nawet, szkodliwie. Kierownictwo bowiem polityczne ma przed sobą jedną jeszcze większą trudność, niż wojskowe, a mianowicie zagadnienie ustalenia wewnątrz i zewnątrz państwa właściwego przeciwnika, czy wroga, podczas gdy kierownictwo wojskowe zaczyna się w ogóle wobec już ustalonego przez politykę wroga. Istnieją w dziejach wojny dobrze prowadzone, a nie tylko bezcelowe, ale nawet szkodliwe, a to dlatego że polityka wskazała niewłaściwy kierunek walki. To samo obowiązuje oczywiście dla ustalania frontu wewnętrznego. Dlatego też kalkulacja każdego działania przez ustalanie prawdopodobnych skutków jest jeszcze bardziej naczelnym nakazem dla tego działu walki o państwo, jakim jest polityka, aniżeli w poczynaniach wojskowych, którymi kierują wyszkoleni dowódcy, oraz ten „mózg armii" — sztab generalny.

Pozostańmy bowiem nadal przy tym osądzaniu podstawy działań politycznych przez ten pryzmat środków, jakimi dysponuje wojsko doby obecnej dla osiągania zwycięstw. Oczywiście mogą być ci dowódcy i ci oficerowie sztabu raz mniej, a raz bardzej zdolni, raz lepiej, a raz gorzej przygotowani, nie mogą jednak wśród nich — niezależnie od mniej lub bardziej szczęśliwych pomysłów taktycznych — zachodzić zasadnicze różnice na temat np. ilości pociągów dla transportu danej dywizji, godzin marszu dla danej przestrzeni, czy ilości amunicji dla danego ataku i t. d. i t. d. Błędy oczywiście są we wszystkich wypadkach możliwe, ale wszyscy wojskowi powołani do decyzji w danej sprawie **muszą dysponować pewną niewątpliwą podstawą** kalkulacyjną i uznawać pewne zasady czy doktrynę wojskową.

W życiu politycznym posiadanie analogicznego do wojska materiału ludzkiego jest cechą tylko narodów bardzo wyrobionych i o wielkiej, nieprzerwanej tradycji państwowej. Wykazuje te elementy w swym życiu politycznym Anglia, z wyjątkiem wypadków, w których angielska polityka ustępuje i ulega nastrojom mas, wytworzyła je u siebie Francja, nie tyle na terenie parlamentarnym, ile w obrębie swej biurokracji, nie ulegającej ani w części temu brakowi równowagi ideowej i politycznej, jaki stanowi cechę francuskiego życia politycznego. Zdobyła po tysiącleciu zastoju te walory psychika niemiecka przez swe niemal już stuletnie wychowanie państwowe, kontrparowane zresztą w rezultatach przez kulturę maksymalizmu i megalomanii, tak samo, jak wywalcza te walory, tak ongiś im brakujące, faszyzm Mussoliniego dla Włochów. Przy największym jednak nawet optymizmie w odniesieniu do obecnego społeczeństwa polskiego nie moglibyśmy sami sobie przyznać tego wyszkolenia i przygotowania, a to gdy chodzi o ogół naszej czynnej polityki, zarówno w formie działaczy, jak wziętych u ogółu publicystów, czy poczytnych dziennikarzy.

Brak bowiem zdolności do kalkulowania każdego działania i każdego dążenia politycznego poprzez obliczanie skutków, ta niechęć do wysuwania na czoło każdego rozrachunku pytania, czy rezultat danej sprawy będzie konstruktywny czy destruktywny, jest szczególnie rozwielmożniony w politycznej psychice powojennej Polski, a to z całego szeregu powodów niemalże specyficznie polskich czy tkwiących w naszym dziedzictwie XVIII i XIX wieku. Jeśli zamierzenia dobrej woli nie są u nas zawsze dążeniem konstruktywnym wobec państwa i narodu, to powód nie leży w różnicach społecznych, nie leży nawet w różnych założeniach teoretycznych, ale przede wszystkim w tendencji ślepego ulegania utrwalonym fikcjom myślowym, w przyzwyczajaniu operowania fikcjami w zwyczaju argumentowania z patosem, a nie, raz tylko tupetem poprzez dane fikcyjne a nie rzeczywiste, chociażby najbardziej bezsporne. Dziesiątki bowiem powodów złożyło się na to, że ilekroć przeciętny Polak w dyskusji i dowodzeniu politycznym sięga po argumenty, to większość przesłanek jego kalkulacji należy do rzędu zwykłych fikcji, kolidujących z najbardziej ustaloną i bezsporną rzeczywistością polityczną i ekonomiczną. W rezultacie w dążeniach i działaniach politycznych, o ile nie były gwałcone genialną ręką Marszałka Piłsudskiego, raz za razem odżywa fakt, że nawet jednostki, rozumiejące potrzebę, a raczej konieczność rzeczowych kalkulacji, uznające zasadę przewidywania skutków, wskutek rozumowania zapomocą fikcji i zwykłych błędów rzeczowych dochodzą w konstrukcyjnych intencjach do niewątpliwie destrukcyjnych wskazań.

Szczególnie bowiem dla duszy nowoczesnego Polaka pozostała po okresie rozbiorów odziedziczona trudność, by z dobrej woli wypłynęły dobre, a więc dodatnie, konstruktywne rezultaty. **W tym leży tragizm obecnej politycznej duszy polskiej,** którego najlepszym wyrazem będzie chyba fakt, że Marszałek Piłsudski tylko przy podkreślaniu tej groźby dla Polski, jaka tkwi „w negowaniu prawdy" i zakłamaniu myślenia politycznego, użył historycznej zapowiedzi „zguby" państwa i narodu.

(113)

O BOLESNEJ KSIĄŻCE

„Ein Pole erlebt Ostpreussen" — oto tytuł artykułu jaki redaktor „Angriffu" organu Hitlera zaproponował Melchiorowi Wańkowiczowi, autorowi **Na tropach Smętka...** Czytając tę książkę, która doczekała się paru wydań i wyjątkowego jak na nasze warunki nakładu, nabieramy przekonania, że Wańkowicz nie potrafiłby napisać do „Angriffu" o tym, jak przeżywał jako Polak wycieczkę do Prus Wschodnich i że ma rację sądząc, że pismo niemieckie nie drukowało by jego wynurzeń. W Niemczech i w Gdańsku ostatnią rzecz Wańkowicza skonfiskowano.

Stanowi ona swoisty reportaż, w której to formie modnej, ale według nas pseudoliterackiej Wańkowicz celuje.

Jest on zawsze doskonale przygotowany do tego co ma ujrzeć, zobaczyć, zwiedzić, by nam to później dobrą polszczyzną opowiedzieć...

Pierwsze kilkadziesiąt stronic książki sprowadza nas odrazu w nastrój odmienności granicznej z zupełną obcością gdy chodzi o naturę i człowieka w Prusach Wschodnich. Z nastroju tego chętnie się wyrywamy a walnie dopomaga nam w tym Wańkowicz, działając na nas mową mazurską.

Gdy Niemiec, Ernst Wichert, pisze: „Krew duszy tego kraju... to to, że jego ciemne rzeki płyną do Narwi, że nazwiska jego brzmią tajemniczo, jak Zakręt, jak Sowigród, a ja nie wiem co to znaczy. Że oblicze jego mieszkańców zachowało skryte i bojaźliwe milczenie" jest to zupełnie zrozumiałe. I zupełnie zrozumiałym jest to, że Wańkowicz zetknął się nieraz ze skrytym i bojaźliwym milczeniem... Nie wspominając wyjątków, które potwierdzają regułę, znać, że do krótkich pogwarek — i to takich o jakie Wańkowiczowi chodziło — skłonni są starzy Mazurzy, nie mający już nic do stracenia.

„Wo sich aufhört die Kultur, fangt sich zu leben an Mazur" „Gdzie się kończy kultura, tam znajdziesz Mazura", a teraz już na dobre zabrano się do Mazurów, by z kretesem poczynić z nich Niemców... Okrasę historyczną posiada „Na tropach Smętka" złożoną dobrze... Tu jednak wspominki historyczne nie pomogą, wspominki, czyli nasze grzechy polityczne tak nierozerwalnie z historią związane.

Nie! — powiada Wańkowicz, — to nie są rodacy Niemców ci Mazurzy. Zahukany lud, trzymany w żelaznych kleszczach, odcięty od źródeł twórczości — od pnia narodowego, o duszy romańskiej, wtłoczonej w karby protestanckiego kościoła deprawowany materialistycznymi pojęciami u góry, rozpajany od dołów. „Ein missratenes Erzeugniss zweier Nationen" — nieudane pomieszanie dwóch narodów,... jak chce... „duszpasterz mazurski, pastor Skowronek"... „Mowa tu cuchnie niemczyzną i wyświechtanym plugastwem"... A z tym znajdował Wańkowicz po chatach mazurskich ten sam obyczaj co w Kowieńszczyźnie, ale wszędzie umie podkreślić milczenie ziemi mazurskiej, która nie jest jak dawniej terenem kolonizacji i akcji gospodarczej, wywoływanej naciskami i językami patriotycznymi jednej niemieckiej grupy społecznej Prus Wschodnich.

Ziemię mazurską objęto zarządzeniami planowymi, bezkompromisowymi. Działają na niej mocne tłoki państwowe normalnie nie do odparcia... Robią tam swoje wszyscy, od wójta poczynając, o którym opowiada nam Wańkowicz, że jest on mężem zaufania regimu. Miał możność stwierdzić, jak ważnym i jak uświadomionym narzędziem administracji jest taki wójt.

„Jest on wynagradzany po złotówce rocznie od mieszkańca, a więc gmina, która ma 600 osób, przynosi mu 600 mk. rocznie i t. p. Ma on nadto, przy jeździe w sprawach służbowych do powiatu, 5 mk. diety, a więc więcej, niżby zarobił dniówką. A że to jest z reguły miejscowy gospodarz, który „urzęduje" w godzinach wolnych od pracy w polu, więc jest to dla niego czysty dodatkowy dochód, nie mówiąc o godności, której znaczenie rząd niemiecki wszelkimi sposobami stara się wzmocnić". W czasie pobytu Wańkowicza np. owi wójtowie (sołtysi właściwie) otrzymali tytuł „burmistrzów".

Wańkowicz zetknął się z wycieczką królewieckiego „Studium für Osteuropa". Zetknął się z przejawem tych wysiłków, które Niemcy poznają w celu gruntownego poznania spraw i zagadnień Europy Wschodniej. Poza „Studium" królewieckim mają Niemcy w tymże Królewcu: 1) Instytut do badania spraw gospodarki Wschodnio-Europejskiej; 2) Instytut do badania Rosji; 3) Instytut gospodarczy do spraw Rosji i państw okalających („für Randstaaten"); 4) we Wrocławiu Instytut, rozciągający swe czynności na Ukrainę, Polskę południową i państwa Bałkańskie (Instytut królewiecki zajmuje się Rosją środkową i północną, Polską północną i państwami Bałtyckimi); 5) W Gdańsku mieści się — „Ostland Institut"; 6) w Stuttgarcie — centrala dla wszystkich mniejszości niemieckich na całym świecie. Centrala ta założona w 1917 r. opracowuje 1.500 czasopism; ma ewidencję 33.500 rejestrowanych organizacyj i towarzystw niemieckich, posiada bibliotekę dzieł specjalnych, złożoną z 39.000 tomów; katalog książek o niemczyźnie, wydawany jako miesięcznik, osiąga nakład 39.000 egz. Instytut posiada 88.500 map; udziela rocznie 35.000 informacji dla polityków, kupców, dziennikarzy i t. p.; wydaje dwutygodnik „Der Auslanddeutsche" oraz kalendarz.

My posiadamy Instytut Bałtycki w Toruniu, w Warszawie: Instytut do badania spraw narodowościowych, Wschodnio-Europejski Instytut przy uniwersytecie w Wilnie i Instytut Zachodnio-Słowiański w Poznaniu.

Dodajmy zgodną chyba uwagę, że od czasów III Rzeszy energia, którą Niemcy skierowali na swe mniejszości narodowe, do których zaliczamy i Mazurów oraz na działanie wśród Niemców zagranicznych nie zmalała, lecz wzrosła znakomicie.

Los Mazurów jest ciężki i twardy. Dobrze uczynił Wańkowicz kładąc na czele swej książki następujące zdanie Wacława Nałkowskiego (z jego dzieła p. t. Terytorium Polski historycznej jako indywidualność geograficzna): „Naród powinien być wciąż czujny i uważny, pamiętając, że na takiej równinie przejściowej, pozbawionej granic strategicznych, granice etnograficzne wykreśla jedynie energia i kulturalna praca narodu; wzmagając się, wzbierając niejako i promieniując, posuwa ona te granice dalej przez siebie; słabnąc, opadając pozwala na cofanie się ich"...

Z powodu ładnie i barwnie napisanej książki Wańkowicza, należy przecież powiedzieć, że energia narodu musi być kierowana, szczególnie narodu nie wychowanego na tłach państwowych. Dzieje Mazurów — to ciężka historia odrębnego wśród Niemców plemienia, który ratował się odwiecznymi składnikami tej odrębności, które państwo niemieckie niweluje nie tylko zarządzeniami administracyjnymi lecz także szkołą, wychowaniem... Mniej należy zważać na te setki lat istnienia Mazurów, na historycyzm w rozważaniach. Bardziej na stworzenie i ugruntowanie w narodzie mocnej, trwałej doktryny państwowej, doktryny nie zmieniającej się wraz z tym czy innym rządem, doktryny prężności narodowej i państwowej...

Tej myśli, niestety, daremnie szukaliśmy w książce Wańkowicza... Gdy się trafia na rzeczy dla Polaka bolesne trudno i zaczynać i kończyć wyłącznie na sentymencie. (221)

O INNĄ KSIĄŻKĘ DLA MŁODZIEŻY

Kształtowanie psychiki obywatela od jego narodzin aż do śmierci odbywa się zawsze drogą wychowania. Dopóki ten ogólnik posiada charakter frazesu, dopóty nie rozbije się zagadnienia wychowania na poszczególne elementy, którymi już można operować realizacjonistycznie bez obaw wywołania tylko uczuciowego oddźwięku.

Pierwszą klasyfikacją, jaką musimy dokonać w naszych środkach wychowawczych, jest konieczny podział na łatwo i trudno uchwytne narzędzia wykonawcze. Te pierwsze leżą w płaszczyźnie bezpośredniej dyspozycji nadrzędnego czynnika wychowawczego, stosunkowo więc łatwo jest nimi operować, są bowiem zorganizowane w pewne systemy, jak szkoły, licea, uniwersytety, itp., drugie zaś, będą o charakterze mniej lub więcej niezależnym, przedstawiają się jako bardziej nieuchwytne (przynajmniej w obecnym stanie rzeczy), a co za tym idzie są trudniejsze w operowaniu.

Skala ścisłości uchwycenia tego drugiego zespołu środków wychowawczych jest różna i sięga od organizacyj różnego typu np. sportowych, kółek towarzysko-kulturalnych, aż po t. zw. życie t. j. pobocznych i przygodnych a nieokreślonych zupełnie wpływów. Zdając sobie sprawę z tego, że niemożliwe jest jakiekolwiek realizacjonistyczne ujęcie w sensie możliwości celowego operowania tymi „wpływami życia", winniśmy jednak zastanowić się nad ewentualnościami przeniesienia niektórych elementów wychowawczych z tego drugiego przedziału klasyfikacyjnego do pierwszego, zwłaszcza, że wykazują one niejednokrotnie mimowolną tendencję do ściślejszego ujawniania się w płaszczyźnie dyspozycji.

Tymi elementami, abstrahując w tym miejscu zupełnie o zagadnienia „twórczej wolności sztuki", jest literatura, teatr i kino. Są to (z punktu widzenia pedagogicznego) potężne środki wychowawcze, źle, nawpół lub w ogóle nie zorganizowane, które z tego powodu tworzą niesłychanie skomplikowane typy konsumentów-indywidualistów, którym narzucają nieraz nonsensowną problematykę oraz podmalowują tło dla przeżyć psychicznych. Nie podkreślając specjalnie potęgi tych środków, warto jednak dodać, że w większej mierze właśnie one narzucają masom indywidualny sens życia.

Ponieważ ogrom wielostronności, jak i ukryta temperatura polemiczna tego zagadnienia tworzy trudności, których niepodobna omówić w krótkim artykule, przeto ograniczymy się do wąziutkiego wycinka tej sprawy i postaramy się skoncentrować przyjrzeć się działającej na terenie polskim literaturze dla młodzieży.

Znana jest powszechnie moc sugestywna beletrystyki, nieograniczony czar, jaki wieje z zadrukowanych kartek na duszę najbardziej wdzięcznego czytelnika — chłopca o wiecznie podrapanych kolanach i podlotka, jeszcze z lalką na ręku a już kokietującego mężczyzn. Dusza w tym wieku jest, jak wosk ugniatający się bez oporu w każde formy. Dlatego też wszystko to, co w tym okresie najbardziej wpływa kształtująco, musi być możliwie najlepiej i najściślej przychwycone i zorganizowane, aby państwo mogło zapewnić sobie utworzenie takiego typu obywatela, jaki życzy sobie mieć w danym okresie dziejowym.

Stąd stanie się zrozumiała troska o inną, nową książkę dla dziecka, ponieważ obecna literatura młodzieżowa przedstawia obraz nędzy i rozpaczy, nieprawdopodobnego bałaganu i bałamutności w zaszczepianiu odpowiednich rodzajów przeżyć psychicznych odpowiedniej kategorii wieku młodzieńczego. Istotną cechą w reakcji psychicznej młodocianego czytelnika, jak zresztą i większości czytających, jest naśladownictwo cech i właściwości bohatera powieści. Naśladowanie, upodobnienie się do kogoś stanowi bardzo ważny czynnik wychowawczy.

Przejdźmy się teraz po czytelniach i księgarniach, zajrzyjmy do książek, broszur i gazetek dla młodzieży i przypatrzmy się tym bohaterom, ideałom i wzorcom, na które młodzież ma spoglądać z zachwytem i kształtować się wedle ich zalet i wad. Oto Robinzon Kruzoe sam na sam z przyrodą, z *daleka od wszelkiej społeczności*, pędząc piękny żywot *samotnika*, doi przez lat dwadzieścia kozę i czuje się szczęśliwym wśród mniej lub więcej niebezpiecznych przygód. Oto cały legion innych Robinzonów: tatrzański, szwajcarski, na dnie morza, polski i t. d. o trybie życia *zawsze osamotnionym*.

Jeśli już bohater nie jest samotny, to walczy z czerwonoskórymi, byle walczyć, byle budzić podziw dla bohaterstwa, które, konkretyzując się na terenie tak odległym od Polski, w warunkach ideowo niezrozumiałych dla młodocianego czytelnika, staje się raczej zuchwałym awanturnictwem niż tą cechą godną szacunku i podziwu. Bohaterstwo bowiem musi być przedstawione na tle znacznie czegoś większego niż walka z Indianami.

Jeśli już nie „Młody wędrowiec", „Rączy jeleń" czy jakiś inny podejrzany typek z kolekcji May'a, to w takim razie nagle wyrasta jakby z pod ziemi jakiś tajny detektyw, lub pseudo-humorystyczne Paty i Pachony, nowe źródło podziwu i wzruszeń. Chłopcu wiele nie trzeba. Chłonie on łapczywie każdą złą i bez wyboru podsuniętą literaturę. A tendencja upodobnienia się, podsycana temperamentem młodzieńczym, każe mu w ucieczce z domu ze starym pistoletem dziadka, kuchennym kordelasem i niejednokrotnie z kradzionymi pieniędzmi

od rodziców rzucić się z naiwnym romantyzmem na poszukiwanie tej książkowej rzeczywistości, aby stać się bohaterskim samotnikiem, lub krwiożerczym „Sępim Okiem"... z ulicy Kopernika.

Nie lepiej się dzieje z literaturą dla podlotków. Ckliwo-słodkie opowieści o szlachetnym cierpiętniczym sercu, wieczne nastrajanie na oczekiwanie tego wielkiego uczucia miłości, które w odpowiednim czasie ma samo przyjść i stworzyć nową atmosferę życia, nowy i jedyny sens życia. Ostrożnie - mdły idealizm, nakręcający życie młodzieńczej dziewczyny na nutę rodzinnomiłosną, jeśli w ogóle nie na ukryty erotyzm! Nie do wiary, ile w t. zw. powieści dla dorastających panienek kryje się ciasniutkich horyzontów, stereotypowych od stu lat poglądzików!

Poza tymi najgorszymi rodzajami książki dla młodzieży niewątpliwie istnieje cały szereg innych wartościowych, które, stojąc na wysokim poziomie artystycznym i wychowawczym, dobrze rolę swoją spełniają. Ale mimo tych dość licznych zresztą wyjątków należy stwierdzić kategorycznie, że jednak powieści te nie mają charakteru „świadomej linii wytwarzania typów ludzkich według pewnych „zapotrzebowań" ogólnopaństwowych".

Nie należy w tym powiedzeniu dopatrywać się żądań stworzenia jakichś bzduracznych wierszydeł, nowel a nawet powieści na podniosłe tematy administracyjno-państwowe. Chodzi bowiem o to, żeby pisarze dla młodzieży byli w dużej mierze utalentowanymi pedagogami, którzy w artystycznej formie potrafią podrzucić chciwej „amebie" — chłopcu lub dziewczynce — odpowiedni typ do naśladowania. Ale, niestety, takich pisarzy jest bardzo niewielu w Polsce, ponieważ ten rodzaj literatury jest specjalnym wśród ogólnej twórczości beletrystycznej, wymagający bardzo dużego wyrobienia artystycznego, pedagogicznego i państwowego. Przychwycenie i zorganizowanie tego środka wychowawczego winno być najbliższą troską na przyszłość. (199)

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

PARALEL — MARKSIŚCI

Najpierw winni jesteśmy kilka słów wyjaśnienia co do tytułu: dziwnie (i źle) brzmiącego duetu słownego. Ma on oznaczać tych ludzi i warstwy, które zwalczając marksizm, sami — czy same — reprezentują niezły przykład wcielania w życie niektórych tez doktryny Marksa. Jeśli jeszcze dodamy, że chodzi tu o pewną warstwę społeczną polską, stanie się przypuszczalnie rzeczą dla wszystkich jasną, że mamy na myśli odłam ziemiaństwa.

Ukazanie się książki Marii Dąbrowskiej, książki przykrej i (wciąż niestety) potrzebnej, obnażyło tę prawdę, że warstwa ta w swych najgorszych częściach demonstruje *ad oculos* zaciekłą klasowość. Obnażenie tej prawdy dokonane tylekroć przez historyków a tym razem przez reprezentantkę literatury, zabolało naszych rodzimych klasowców, na opak. Ministra Poniatowskiego, konsekwentnego „programowicza" (nie „planowca"!), osacza się ze wszystkich stron, nazywa rzecznikiem złej sprawy. Dlatego tylko, że ośmiela się realizować rzecz od dawna postanowioną. A jak wygląda sytuacja?

Polskie życie polityczne kształtuje się w przeważającej mierze według konsekwencyj, jakie niesie wysoki przyrost naturalny. Różne państwa różnie reagują na to zjawisko, w zależności od pozostałych czynników jak skład socjalny, stopień urbanizacji, uprzemysłowienie i t. d.; co się tyczy Polski, to reakcja przebiega w sposób odmienny od państw zachodnio-europejskich, wyróżniających się wysokim przyrostem jak np.: Włochy, względnie Niemcy przedwojenne.

Przyczyna tego jest bardzo prosta.

W Polsce przyrost ten w praktyce oznacza zagadnienie p r z e l u d n i e n i a w s i, bowiem stopień umiastowienia jest, w porównaniu z innymi państwami, mały. Szczegół ten sam przez się dał już rezultaty polityczne zupełnie widoczne.

Mały stopień umiastowienia wynika z faktu małego uprzemysłowienia i w ogóle z rolniczego charakteru państwa. Brak wielkich skupień miejskich, a w pierwszym rzędzie proletariatu miejskiego, olbrzymia przewaga elementu wiejskiego, szeroko rozłożonego po obszarach rolnych, z natury rzeczy niezorganizowanego i stanowiącego, zwłaszcza na tle elementu robotniczego, materiał bierny, politycznie wyrażający raczej pewien tylko potencjał, a nie siłę czynną: zadecydowało to wszystko o braku podłoża socjalnego dla tak specyficznych ruchów politycznych w przeludnionych państwach Europy zachodniej, jak przytaczane wyżej Włochy i Niemcy.

Tam przeludnienie ma charakter miejski, stąd bezwzględna gęstość zaludnienia jest większa i charakter płynących z tego trudności ostrzejszy; świadomość konieczności jakichś natychmiastowych reform jaśniejsza, zyskująca przytem natychmiast wyraziciela w aktywnych masach miejskiego proletariatu.

Tym się więc tłomaczy szerokie rozlanie się w tych państwach masowych ruchów socjalnych, natężenie nacjonalizmów i szukanie rozwiązań w formie jakiejś, często nieskrystalizowanej, ekspansji.

Są natomiast inne konsekwencje bardzo poważne, nie rzucające się w oczy swą gwałtownością, jak to bywa z problemami wsi, tym nie mniej konsekwencje, których przebieg zaważy na polityce, stanowiąc podłoże gospodarcze dzisiejszej rzeczywistości.

W przeciągu lat dziesięciu (od 1921 do 1931) przybyło w Polsce prawie 5 milionów ludności. Dokładnie biorąc z 27,2 milionów wzrosła do 32,1 czyli o 4,9 miliona. Stanowi to 18 proc. przyrostu.

Ponieważ, jak wiemy, ludność miejska stanowiąca analogicznie w tych latach 25% i 27% ludności, wzrosła tylko o 2%, łatwo stąd obliczyć, że w przeciągu tych dziesięciu lat przybyło na wsi 3 miliony ludzi. Miasto swą daninę już wzięło, uprzemysłowienie nie wzrasta, granice wszystkich państw na świecie są dla emigracji zamknięte, pozostało więc tym 3 milionom tylko jedno: pozostać na miejscu.

Ponieważ stosunki socjalne na wsi już przedtem były bardzo zaognione, więc sytuacja doznała oczywiście znacznego pogorszenia. Przecież 71% gospodarstw, to własność mała, zajmująca zaledwie 24.9% obszaru uprawnego. Znaczy to poprostu, że 71% polskiego chłopa uprawia 24,9% powierzchni ogólnej.

Pozostałą, przeważającą część powierzchni uprawia wybrana i bogata garstka (w porównaniu z tą siedemdziesięcio procentową masą).

Przeludnienie wsi w tych warunkach jest zagadnieniem wymagającym zdecydowanej polityki rolnej.

Tylko, że nie jest to sprawa prosta. Jak dowcipnie to określono rolnictwo polskie znajduje się między młotem skartelizowanego przemysłu, a kowadłem wzrastającego przeludnienia wsi.

W każdym razie wytyczne są proste i wymagają współrzędnie postępującego uprzemysłowienia kraju i akcji parcelacyjnej.

Zagadnienie wsi było w Polsce zawsze o wielkim ciężarze gatunkowym i dziś jest takie same.

Nie mówiąc już o innych problemach związanych ze wsią, jak zdrowotność, rozrodczość, przywiązanie do ziemi i t. d., gospodarcza strona jego odbija się dziś i odbijała się kiedyś na interesach politycznych Polski w sposób decydujący.

Tak więc i upadek Polski, między innymi przyczynami, spowodowany był słabością gospodarczą.

Płynęła ona z trzech źródeł: braku produkcji przemysłowej, i handlu, po drugie z najazdów począwszy od połowy w. XVII i wreszcie z polityki gospodarczej sejmów i sejmików. Tym ostatnim punktem zainteresujemy się właśnie, on to bowiem dotyczy przede wszystkim wsi i chłopa, a w drugim dopiero rzędzie — rzemieślnika i mieszczanina. Sejmy i sejmiki nie patrzyły na wieś, jako na jeden z elementów całości gospodarczej Rzeczypospolitej, a reprezentowały klasowe interesy wielkiej własności ziemskiej.

Postawiły sobie za cel skupienie w rękach swych wyborców największej części dochodu społecznego. Powoli, samodzielni producenci rolni, jakimi byli kmiecie z XIV i XV wieku zostali przekształceni w pańszczyźnianych robotników folwarcznych. Wyniki takiej polityki możnaby ująć w czterech punktach: a) zmniejszenie samodzielności chłopa, b) wzrost małorolnych i bezrolnych (pauperyzacja), c) upadek produkcji rolnej (w wieku XVI większa była niż w wieku XVIII!) i d) zmniejszenie przyrostu naturalnego.

Analogiczną zresztą politykę prowadziły sejmy i sejmiki w stosunku do przemysłu, który mimo forsowania go przez panujących, nie rozwijał się, bo sejmy wyznaczały możliwie najniższe ceny na jego wyroby.

Polityka taka musiała, oczywiście, wydać odpowiednie rezultaty, tym bardziej, że ci którzy zagarnęli największą część dochodu społecznego nie płacili bynajmniej skarbowi odpowiedniego ekwiwalentu. Jak były wyzyskiwane możliwości skarbowe świadczyć może to, że po rozbiorach dochody ściągane przez administrację wzrosły niekiedy dwudziestokrotnie, a w byłym zaborze austriackim nawet czterdziestokrotnie!

I to w stosunku do epoki sejmu czteroletniego, gdzie przecież dochody doprowadzono do nieznanej przed tym wysokości.

Państwowość polska okupiła to swoją słabością gospodarczą, pozostaniem daleko w tyle poza innymi państwami rozwijającymi się gospodarczo normalnie.

Dziś oczywiście sprawy mają inne zabarwienie, rozstrzygają się na zupełnie innej płaszczyźnie, zależne są już nie tylko od polityki państwowej, ale i od sytuacji światowej. Nabrały większego skomplikowania, patrząc nawet od wewnątrz, od strony samej wsi.

Jednak życie postawiło problem wiejski, postawiło go przede wszystkim jako problem przeludnienia wsi.

Po wielkiej wojnie, sąsiadujące z nami państwa, zdołały reformę rolną przeprowadzić szybko i zapomnieć już o niej (Czechosłowacja, Rumunia, Łotwa, Litwa) a w Polsce wciąż jeszcze... wzbudza ona wątpliwości i spory.

A przecież nie jest to tylko sprawa socjalna, ale w całym tego słowa znaczeniu państwowa. Nie tylko sprawiedliwość wchodzi tu w grę ale i byt państwa. I nas interesuje tylko ten ostatni punkt widzenia. Obojętne czy i co która klasa straci lub zarobi, która przyjdzie a która zmuszona będzie odejść. Dla nas nie jest to zagadnienie. Chłop nie jest dla nas jakimś fetyszem politycznym,

(dokończenie na str. 8-ej)

TWÓRCA TURCJI NOWOCZESNEJ[1]

W ciągu jednego krótkiego życia ludzkiego wielkie Imperium Ottomańskie stało się nowoczesnym państwem. Przemiany tej dokonał Mustafa Kemal. By zrozumieć trudności i wielkość tego zadania, musimy się cofnąć do chwili zakończenia wojny europejskiej, Turcja walczyła po stronie Niemiec. Powodów tego stanowiska, sprzecznego z wiekowymi przymierzami z Francją, należy się doszukiwać w fakcie, że Imperium Ottomańskie przed wojną znajdowało się w stanie rozkładu i na własną politykę nie umiało się zdobyć. Siłą rzeczy podlegało wpływom potęg europejskich, a że Niemcy najlepiej się zakrzątnęły około swych interesów, im właśnie w czasie wojny służyło, traktowane raczej jako kolonia niemiecka, niż jako państwo sprzymierzone. Stało się to głównie za sprawą Wilhelma II, który swą politykę przenikania w sprawy tureckie oparł, nie jak inne potęgi europejskie na „ochronie chrześcijan", ale na głoszonej wszem wobec sympatii do Islamu. Po otrzymaniu od samowładnie rządzącego sułtana Abdul Hamida, koncesji na budowę sławnej kolei bagdadzkiej, Niemcy rozrzucają wzdłuż niej szereg placówek handlowych; kolej ta pozwoli im potem na niepokojenie Anglii wojną w Indiach. Niemcom także powierza sułtan wyszkolenie swego wojska, co ostatecznie zdecydowało o udziale Turcji w wojnie po stronie państw centralnych.

Z drugiej strony trudno się dziwić stanowisku Turcji nawet z punktu widzenia politycznego. W Niemczech widziała jedynego obrońcę swej wolności w chwili, gdy po czterech latach wojny z Włochami i wojnie bałkańskiej, potęgi europejskie szykowały się do jej rozbiorów. Plan, jak wynika z dawnego archiwum carskiego, był prosty. Armenię miała otrzymać Rosja, Arabię — Anglia, Niemcy — Mezopotamię i Anatolię środkową, Włosi — Anatolię zachodnią, Francuzi wylądowaliby w Beyrucie... Turkom pozostałby Bosfor i Dardanele, by mogli pilnować przesmyków i tyle ziemi uprawnej, by mogli spłacać odsetki długów europejskich.

Jeśli obiektywnie porównać wysiłki wojsk walczących w wielkiej wojnie, Turcji trzeba przyznać palmę... męczeństwa i bohaterstwa. Nie na wiele im się to zdało. Zawieszenie broni otworzyło szerokie pole dla apetytów europejskich. Na szczęście dla Turcji, zwycięzcy już kłócili się między sobą o zdobycz. Układy o pokój przeciągały się bez końca. Wewnątrz kraju panowała zupełna anarchia. W Tracji, Smyrnie, nad morzem Czarnym tworzyły się greckie komitety rewolucyjne. Armeńczycy, Arabowie, Kurdowie, Tatarzy, kaukazcy górale, wszyscy w imię zasady narodowościowej, podnosili swoje pretensje, zwalczając się wzajem. Bandy dawnych żołnierzy przebiegały kraj, rabując miasta. Groziły nowe pogromy w Armenii, na której krew nie obeschła jeszcze po olbrzymiej masakrze z 1915 roku, gdy zginęło około miliona ludzi!

W tym stanie rzeczy, dla zaspokojenia kraju, wysłano za zgodą Wysokich Komisarz alianckich, do Azji Mniejszej, generała bez przydziału, bywalca salonów stambulskich, Mustafę Kemala, dając mu tytuł generalnego inspektora armii.

W rok później alianci narzucili Turcji traktat pokojowy w Sevres, oznaczający koniec państwa tureckiego. Traktat ten został przyjęty na wielkiej radzie państwowej, w której uczestniczyło pięćdziesięciu pięciu najznaczniejszych mężów stanu Turcji. Mimo sprzeciwu trzech książąt krwi, został on podpisany przez pełnomocników sułtana.

By go jednak wykonać, potrzebna była siła zbrojna; misję tę powierzono Grecji. Bowiem naród turecki opuszczony przez swoich dawnych władców, przejęty duchem patriotyzmu, wolał podjąć walkę z całą zwycięską koalicją niż zgodzić się na haniebny traktat. Na czele tego ruchu stanął Mustafa Kemal.

Urodzony w 1880 roku, nie był jeszcze w 1919 osobistością wybitną. Brał coprawda udział w rewolucji młodo-tureckiej, ale nigdy nie był jednym z jej wodzów, choć młodsi od niego byli nimi. W czasie wojny walczył jako generał, ale po przegranej wojnie nawet najmężniejsi generałowie nie osiągają wysokich stanowisk. W czasie pertraktacji pokojowych nie brał czynnego udziału w życiu politycznym, natomiast bardzo żywy udział w życiu światowym. To właśnie pozwala nam zrozumieć zaślepienie Wysokich Komisarzy, godzących się na wysłanie go z oficjalną misją, by zbuntowane ludy przywrócił do posłuszeństwa.

Mustafa Kemal postawił odrazu jasny cel przed sobą. Odbudowanie dawnego Imperium Ottomańskiego było niemożliwością. Wszystkie dawno zdobyte kraje albo same się wyzwoliły, albo też znalazły się pod wpływem potęg europejskich, które nie dałyby już sobie wydrzeć zdobyczy. Pozostawała Turcja właściwa, kraj położony między morzem Śródziemnym a Kaukazem. Jej to należało zapewnić całość terytorium zamieszkałego od wieków i niepodległość niczym nie ograniczoną. W walce tej Mustafa Kemal nie mógł się oprzeć na Sułtanie, który się godził na wszystkie żądania Anglii, tym mniej na Komitecie „Jedność i Postęp" jednoczącym Młodoturków, który na cały czas wojny kraj oddali Niemcom. Istniała coprawda zasada narodowościowa, tak uroczyście głoszona przez Wilsona, ale czyż mogła ona obowiązywać wobec zwyciężonych, i to wbrew interesom zwycięzców? Jedynym oparciem naturalnym był sam naród turecki, ale jego przywiązanie do osoby Sułtana-Kalifa, religijnego władcy całego świata mahometańskiego, nakazywało najwyższą ostrożność.

W tych warunkach, otoczony tylko kilkoma przyjaciółmi, którym nie mógł odkryć planów swych w całej rozciągłości, Kemal Pasza rozpoczął wojnę z doskonale wyekwipowaną, ożywioną bojowym zapałem armią grecką, wdzierającą się na terytorium tureckie i odnoszącą łatwe sukcesy nad luźnymi oddziałami, sformowanymi samorzutnie przez patriotów, za którą stała cała potęga koalicji, groźnej niedawnym zwycięstwem nad Niemcami. Mustafa Kemal uwierzył w potęgę żywotną swego narodu, w jego wolę niepodległego istnienia, i silny tą wiarą, nie uląkł się gdy Wysocy Komisarze przerażeni działalnością powstańczego generała, wymogli na ministrze wojny jego natychmiastowe odwołanie. Kemal odpowiedział depeszą: „Pozostanę w Anatolii, póki naród nie odzyska swej niepodległości". W niedługim czasie zostaje skreślony z listy członków armii a wszelkie stosunki z nim są uważane za zdradę stanu. Jednakże towarzysze broni nie opuszczają go. Pozostaje z nim Kiazim Karabekir Pasza, dowódca frontu wschodniego, Ali Fuad Pasza, dowódca frontu zachodniego, uczony Refet Pasza i najwybitniejszy z nich Reouf Bey, bohater wojny morskiej włosko - tureckiej. Wszyscy oni jednak usuną się z czasem. Każdy z nich ma własne poglądy, a Mustafa Kemal żąda ślepego posłuszeństwa.

Tymczasem, rozumiejąc nareszcie doniosłość nowego ruchu narodowego, Anglicy zajmują Konstantynopol, w którym zebrał się parlament, opowiadający się po stronie Kemala. Sułtan wraz z całym dworem jest więźniem Anglików i pozostanie nim do końca wojny. Ale ułatwia to tylko plany Kemala, dając mu większą swobodę działania, pozwalając nie występować otwarcie przeciw Sułtanowi, który pozostając w Konstantynopolu zamiast uciekać do wojska powstańczego, traci ostatnią możliwość zachowania dawnej władzy. Kemal zwołuje parlament do Angory, miasta położonego w głębi Anatolii. Tu będzie stolica nowego państwa tureckiego.

Wojna przybiera na sile. Grecy marzą o nowym cesarstwie bizantyjskim. Swemu królowi Konstantynowi nadają miano dwunastego, uważając go za dziedzica ostatniego Paleologa. Walczą jakby natchnieni duchem wojen krzyżowych. Turcy walczą o byt swego państwa. Ich umiłowanie wolności jest nam Polakom — których prawa do niepodległości oni jedni nie przestali uznawać przez długie stulecie — dość znane, by nie trzeba go było przypominać.

Wojna trwała osiemnaście miesięcy. Pod naporem Greków Turcy musieli się cofnąć w samą głąb Azji Mniejszej, aż wreszcie dwudziestodwudniowa bitwa zdecydowała o ich zwycięstwie, już u wrót Angory.

Zwycięstwo to zostało usankcjonowane traktatem z Francją, w którym ta ostatnia starała się wrócić, po latach błądzenia, do dawnego przymierza lilii z półksiężycem, i wreszcie zawieszenia broni, podpisanego przez Anglię, mocą którego Turcy odzyskali Trację i w niedługim czasie Konstantynopol. Dziewiątego kwietnia 1923 roku został zawarty pokój, nieograniczający już w niczym niepodległość Turcji.

Z tą chwilą zaczyna się wielkie dzieło przebudowy wewnętrznej kraju. Ostatni sułtan uciekł na angielskim okręcie floty wojennej (znanej ze swej gościnności w takich razach). Jego następca ma już tylko tytuł Kalifa, godność wyłącznie religijną. Ale sama jego osoba stanowi niebezpieczeństwo dla świeżo proklamowanej Republiki, której Mustafa Kemal jest Prezydentem. Kalifat zostaje zniesiony a razem z nim szkoły i trybunały religijne. Nowe państwo otrzymuje ustawodawstwo europejskie. Ale Kemal, nie chcąc być zależnym od parlamentu, w którym zasiadają przedstawiciele wybrani przez ciemnych chłopów, którzy nie otrząsnęli się jeszcze z jarzma niewoli kalifatu, oparł się na szeroko pomyślanej organizacji, stworzonej na wzór sowieckich a noszącej nazwę Partii Ludu. Ona to pomaga mu przeprowadzić wszelkie reformy. Były między nimi ustawy bardzo różnej wagi; wszystkie dążyły do europeizacji państwa. Nie mamy zamiaru tu się nad nimi rozwodzić. Pamiętają jeszcze wszyscy głośną walkę o kapelusze, w której Mustafę Kemala poparła czcigodna korporacja tragarzy, rzucając na dany znak, zgodnym ruchem, swe fezy do morza. Walka nie pozbawiona akcentów tragicznych, gdyż, by wprowadzić nowatorski kapelusz, armia musiała prowadzić oblężenie całych miast, a trybunały nie wahały się przed ogłaszaniem wyroków wygnania i śmierci. Nie będziemy tu rozstrzygać, czy metody te były zawsze usprawiedliwione. Bądź co bądź jeden człowiek potrafił dokonać czynu zdawało by sie nieosiągalnego, wprowadził Turcję do Europy. Do Azji już Turcja nie wróci. Mustafa Kemal dobrze zasłużył

(dokończenie na str. 8-mej)

[1] Philippe de Zara: „Mustapha Kemal dictateur".

GŁOSY I ODGŁOSY

IMPERIALNE KŁOPOTY

Do niedawna jeszcze państwa najpotężniejsze rządziły całym światem. Od jakiegoś czasu ta sytuacja się zmienia. Z jednej strony państwa mniejsze mają już dość opieki wielkich potęg, opieki liczącej się tylko z własnymi interesami. Z drugiej strony potęgi mają także swoje kłopoty. Dość pokaźny zbiór kłopotów angielskich przedstawia p. G. M. Tracy w **Je Suis Partout**.

„Przede wszystkim Anglia odczuwa refleks niepokojów, które popiera zagranicą. Ultranacjonalistyczna dla siebie, źle znosi silne rządy u innych. Podoba jej się że p. Blum jest narzędziem C.G.T.[1]) — będąc rwnocześnie narzędziem polityki angielskiej. Czy będzie się mogła dziwić, gdy żądania robotnika francuskiego, staną się żądaniami angielskiego? Czy wybuchnie czysto polityczny strajk górników?... Czy pracownicy tramwajów pójdą za przykładem autobusowych?".

Jednak kłopoty wewnętrzne, chociaż liczne, są małej wagi wobec sprawy Dominiów.

„Tendencją dominiów jest oddzielenie się coraz wyraźniejsze od metropolii. Generał Herzog wiele razy rozgłaszał niepodległość suwerenną Afryki Południowej i oświadczał, że jedynie węzeł przyjaźni łączy ją z Wielką Brytanią. W istocie statut Afryki Południowej pozwala na zniesienie królestwa i na obwołanie każdej innej formy rządu".

Nawet tytuł obywatela brytyjskiego nie jest już pożądany. „Albo się jest Południowym Afrykańczykiem, albo się nim nie jest. Jeśli należysz do wolnego państwa Irlandii, czy będziesz mówił, że jesteś Anglikiem?... Czyż przyjdzie dzień, w którym mieszkańcu Kapsztadtu i Dublinu wylądują w Londynie jako cudzoziemcy, tak samo jak Amerykanie? W takim wypadku można by się zastanowić, czy Kanada, Australia i Nowa Zelandia nie pójdą za głosem tamtych".

„Rząd głosem p. Edena musiał zapewnić, że przystąpiłby do wojny, by tylko bronić interesów Wielkiej Brytanii, a więc Imperium... Ale czy dominiom będzie się podobało czy nie przyjść Angilii z pomocą, wypowiedzenie wojny przez metropolię pociągnęło by za sobą automatycznie stan wojenny w całym Imperium?". Są jeszcze Indie", po których można się wszystkiego spodziewać, ale nie mogłyby z nich odjechać legiony brytyjskie". Ss jeszcze kolonie i terytoria mandatowe. Jest Irlandia, z którą Anglicy są w stanie stałej wojny ekonomicznej...

Jednocześnie gra polityczna na kontynencie europejskim staje się coraz trudniejsza.

Ale, o dziwo! w tym stanie rzeczy, gdy wielka Anglia nie jest już wszechwładnym arbitrem, najróżniejsze konflikty europejskie uspakajają się zamiast się pogarszać. Co prawda, gdy się trzeźwo patrzeć na hsitorię, łatwo dostrzec, że stara zasada divide et impera nie przyczyniła się nigdy do ogólnego spokoju. Oto kocioł bałkański, wieczne źródło niepokojów, zdany na własne siły, a raczej poddany tak już różnorodnym prądom, że się wzajem znoszą, zdobywa się na własną politykę.

[1]) Confédération Générale du Travail.

KRÓL KTÓRY RZĄDZI

Przykładem tego Bułgaria. Pisze o niej p. F. Dauture. Na zeszłą jesień były przewidziane wybory do parlamentu i stare partie polityczne chciały skorzystać z okazji, by odzyskać dawne znaczenie. Tak z prawej, jak i z lewej strony pojawiły się próby akcji antyrządowej z chwilą gdy wybory odroczono. Król Borys energicznie intreweniował. Na początku grudnia dwudziestu funkcjonariuszy policyjnych Sofii, podejrzanych o sympatie narodowo-socjalistyczne zdymisjonowano. W kilka dni później ta akcja przeciw skrajnej prawicy została powtórzona wobec skrajnej lewicy i w procesie komunistycznym padło pięć wyroków śmierci.

„Rząd uznał za konieczne odwołać się do ludności, ale obawiając się, by kraj nie stał się znowu widownią ostrych „walk politycznych, postanowił stworzyć partię rządową, rodzaj „partii bezpartyjnej" i przeprowadzić za pomocą wyborów municypalnych generalną próbę na wiosnę. Na początku roku ogłoszono nowe prawo wyborcze, przyznające w Bułgarii głos kobietom, co prawda tylko zamężnym i mającym dzieci. Z drugiej strony prawa tego nie dano członkom armii, policji, kadrom pracy i studentom Kandydaci mieli być wyznaczani według zasady korporacyjnej. Próba ta miała na celu wyzwolenie ludności bułgarskiej z działań polityków, które przez długie lata przyczyniały się do jego rozdarcia z korzyścią jedynie dla wodzów partii, których zbyt często jedynymi zaletami były zmysł intrygi i chciwość".

Walka wyborcza nie była pozbawiona niebezpieczeństwa dla rządu, gdyż partie opozycyjne starały się nadać jej charakter plebiscytu przeciw rządowi, agitując wyborców za wrzucaniem do urn białych kartek.

Wybory odbyły się w marcu. Kandydaci rządowi uzyskali około osiemdziesięciu procent oddanych głosów. W Sofii, gdzie opozycja była najsilniejsza, rząd uzyskał 60%. Sukces wyraźny.

„Projekty rządowe na najbliższą przyszłość nie są jeszcze znane. Wydaje się w każdym razie, że wyborów do parlamentu w tym roku nie będzie. Z drugiej strony mówi się coraz więcej o zastąpieniu instytucji parlamentarnych przez ustrój korporacyjny.

„Na zewnątrz polityka króla święci również sukcesy. Stosunki tak z Włochami jak z Niemcami, dwoma krajami, których wpływ rozszerza się na Bałkanach z dnia na dzień, są w dalszym ciągu doskonałe. Dobre są również stosunki z Turcją. Ale faktem dominującym w zagranicznej polityce bułgarskiej było zawarcie na początku roku paktu przyjaźni i nieagresji z Jugosławia. By ocenić jego ważność, trzeba przypomnieć sobie stosunki obu krajów od końca wojny. Były one jakby w stanie wojennym. Teraz Jugosławia zaczyna znosić fortyfikacje nad granicą. Można przewidzieć szybkie polepszenie stosunków komunikacyjnych obu krajów. Specjalna komisja bada możliwości unii celnej między Jugosławią i Bułgarią.

„Ta część Bałkanów w której tak długo trwały niepokoje i zamieszki dąży do stosunków normalnych i do spokojnego życia. Wszystko to są osiągnięcia które można sprawiedliwie przypisać obecnemu rządowi bułgarskiemu, jako też przenikliwości i energii króla, który nie boi się panować i rządzić".

(dokończenie ze str. 7-mej)

sobie na przydomek nadany mu przez zgromadzenie narodowe: el Ghazi.

Gdy się stykamy z dziełem jednego człowieka, nasuwa się zawsze pytanie: co się stanie ze śmiercią tego człowieka. Tu właśnie dotykamy największej zasługi Mustafy Kemala. Obudził on w swoim narodzie owo głębokie umiłowanie wolności, ową czynną wiarę w prawo do niezawisłego istnienia, które raz obudzone nie pozwolą się już nigdy zgnieść, ani oszukać, które zawsze potrafią znaleźć odpowiednie siły dobyte z głębi poczucia godności ludzkiej, a których owocem są zwycięstwa w pustynnej Anatolii — pod Angorą, u wrót Paryża — nad Marną i w oczach Warszawy — nad Wisłą. (148)

(dokończenie ze str. 6-ej)

ideologiczna mistyką a jeśli chcemy bronić jego praw i żołądek mu zapełnić, to nie dla tego, że w zaspokojeniu jego procesu trawienia widzimy cel jakiś wzniosły ale po prostu dlatego, że interes państwa tego wymaga. Państwu potrzeba jest milionów zdolnych i silnych chłopów, przywiązanych do swej ziemi i zdolnych do wypełnienia wszystkich obowiązków.

Nie mamy także sentymentu ani dogmatyczno-markosowskiej odrazy do „obszarnika". Jeśli sie okaże, że ziemiaństwo będzie musiało zniknąć — po tylu wiekach — z rzeczywistości polskiej, to napewno nie powiemy tego na podstawie doktrynerskiego założenia *a priori* ani emocjonalnych skłonności.

Należy się jednak obawiać, że warstwa ziemiańska nie myśli wyłacznie kategoriami państwowymi, że jednak i dla niej credo światopoglądowe brzmi tak jak w Galsworthy'ego *„The Country House"*: „wierzę w mojego ojca, i w jego ojca, i w ojca jego ojca, którzy stworzyli i zachowali mój majatek ziemski. Wierzę w siebie samego i w mojego syna, i w syna mojego syna. I wierzę, że myśmy stworzyli Anglie, i my ja zachowamy tym, czym jest. I wierzę w ludzi mojego stanu, i w dwór wiejski. i we wszystkie rzeczy takie, jakie są na wieki wieków, amen". (98)

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem 1/1 — 300 zł., 1/2 — 160 zł., 1/4 — 85 zł., 1/8 — 45 zł., 1/16 — 25 zł. Za wiersz milimetrowy — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10